Wychodzą we Lwowie we *Wtorek*, *Czwartek* i *Sobotę*. Prenumerata roczna **6** Złr. półr. **3** Złr. kwartal. **1** Złr. **30** kr. miesięcznie **30** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr. — półrocznie **4** Złr. — kwartalnie **2** Złr. m. k. — Ryciny mód kwartalnie **1** Złr. **20** kr. Bióro expedycyi w księgarni **H. W. Kallenbacha**.

Nowiny

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie w głównym dzienniku po **4** kr. za następne po **2** kr.; w dodatku po **3** kr. za następ. po **1½** kr. i za dopłatą **10** kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie.

26. Lutego 1856. **№ 25.** **Rok trzeci.**

Sierota wielkiego świata.

(Ciąg dalszy).

III.

Było to późno z wieczora. Pan Alfred przechadzał się niespokojnie po swoim gabinecie, hrabina siedziała na szeslongu, oparta o krawędź stolika.

Duszno jakoś było w piersiach panu Alfredowi, bo często wzdychał, ale żadne westchnienie nie uniosło z sobą tej myśli złowrogiej, która go dzisiaj trapiła. Ciemna i straszna chmura zawisła dzisiaj nad jego głową, lada chwila obawiał się burzy, która gotowa była połamać i popsuć wszystko, co dotąd posiał, a co jeszcze żadnego nie wydało owocu.

— I cóż ci tak dolega, mój Fredziu, zapytała wreszcie hrabina.

— Aha, zapomniałem, że jesteś, odpowiedział jakby ze snu obudzony. Nieszczęście nam grozi, i to wielkie nieszczęście. Trzeba nasze zamiary raz do końca doprowadzić, inaczej zginiemy.

— A cóż to takiego?

— Przyręba kupił Wierzyńce i podziękował za służbę. Pisze wprawdzie bardzo grzecznie do mnie, ale z tego wszystkiego przegląda, że mi grozi procesem. I wszystko jakoś w tym dniu na mnie się uwzięło. Widząc, że ten Gustawek coś do głowy wlazł Ofelii, czyniłem kroki, aby wydaniu jej pełnoletności zapobiedz. Jak na nieszczęście musiały moje listy gdzieś zaginąć, a dzisiaj przyszedł z Rossji ten fatalny dokument, który ją czyni pełnoletnią. Wyobraź sobie teraz nasze położenie. Gdyby ten Gustaw miał trochę więcej rozumu niżeli fantazji, gdyby zamiast fortencerować po salonach i u pani Aurory wieczorki spędzać, śmiało do niej uderzył, ręczę ci, nie wahałaby się ani na chwilę oddać mu rękę i swoje dwakroćstotysięcy.

— Ach toby była herezja!

— Herezja swoją drogą, a dwakroćstotysięcy poszłyby swoją, i to taką, żebyśmy z nich ani grosza nie widzieli! Gdyby choć co chciała pożyczyć.

— Ona jest tak dobra Fredziu! ona to uczyni!

— Ba, ona, ale on!

— Jeszcze za niego nie poszła.

— Jakbym ich widział razem!... A cóż nasz przyjaciel Złotousty porabia? Widać, że jego perory zupełnie chybiły skutku!

— Nie mów tak bezbożnie Fredziu!... Ot świat dzisiaj zepsuty, to też Bóg chłosta nas za grzechy nasze!

— Ej co tam!... zamiast córki poszła matka do matni, to mi piękna siurpryza, chociaż ja przeciw temu nic niemam, jeśli cię to bawi. Ale wszystkie moje plany krzyżują się. Edmund wcale niema powodzenia na salonach, panny już z daleka dają mu odkosza, nim jeszcze sam coś pomyśli, do tego wiele traci, nazywają go wszyscy bankrutem... inaczej sobie wcale obiecywałem. Jadwiga drwi sobie z klauzury, a Gustaw okrąża Ofelią i jej dwakroćstotysięcy jak stary myśliwy zająca w bruzdzie ale okrążając ją zbliża się do niej co raz więcej...

— Jak to wszystko okropne mój Fredziu!

— Bądź co bądź, trzeba raz tę sprawę ukończyć i to jutro, rozumiesz Milciu? jutro. Jadwiga musi się zdecydować do klasztoru, na Ofelią trzeba czemsić wpłynąć ale bardzo ostrożnie, a na Przyrębę mam jeszcze jedną receptę. Onby chętnie chciał wydać Leoncię za Adolfa, a jeśliby to mnie się udało, spodziewam się żebym mu wielką przysługę uczynił, na którejby się sam niezawodnie poznał.

— Już to w tem twój rozum mój drogi, ja Marta, obrałam sobie część lepszą.

Gdy taka rozmowa w gabinecie pana Alfreda się toczyła, w salonie szła zabawa jak w najlepsze.

Na około okrągłego stolika siedziało młode i wesołe towarzystwo, bo przy nim niebyło ani hrabiny ani przyjaciela Złotoustego. Na kanapie siedział Edmund z siostrą, a naprzeciw nich Ofelia z Leoncią. Dla rozpędzenia nudów bawiono się w jakąś grę, przy której z wielkim śmiechem podawano sobie odwrócone karty. Biorący na oślep kartę, musiał naprzód maść odgadnąć, a gdy chybił dawał fant i był strofowany. Ztąd były i kłótnie i sprzeczki, i śmiechy i gniewy, a kończyło się zawsze na jakiemś dowcipnem słówku i na ściśnieniu ręki.

Ten ostatni sposób zakończenia sporów powtarzał się jakoś najczęściej między Edmundem i Leoncią, która jeszcze w dodatku do tej monety raczki piekła. Jej jasno-niebieskie oczka były dzisiaj tak śklące, tak się czegoś czule uśmiechały, że najniedomyślniejszy mógłby się domyśleć, że taka zabawka bardzo się panience podobała.

I Edmund był dzisiaj jakoś bardzo usposobiony do ściskania białej rączki, bo za każdem podaniem kart tak umiał je ułożyć, że rączka Leonci musiała mimo jej woli wpaść między czatujące pod kartami palce. A widząc wtedy, jak na białej twarzyczce niewinnej dziewczynki malował się w coraz szerszych kręgach przecudny, coraz żywszy rumieniec, miło mu jakoś było, że to jego osoba była twórcą tak mistrzowskiego dzieła, jakiem był każdy raczek Leonci. Wrócił on niedawno od pani Aurory, a

nie wrócił próżno, bo wrócił z potężnym koszem od panny Agrypiny, z którą przez cały karnawał nadaremnie tańczył. Panna Agrypina była to wprawdzie już przejrzała panienka, ale miała ten powab niewysłowiony, jakie tylko tak zwana „heretierka“ mieć może. Mówiono wiele o jakichś zamkach i kluczach, które gdzieś na Litwie jej zamążpójścia czekały, aby się stać dziedziczną jej własnością. Ta też panna Agrypina była nieustannie otoczona licznem kołem młodzieży, która w sposób najrozmaitszy okazywała jej chęci swoje do tych cudownych zamków i kluczów. Edmund był największym jej admiratorem, codziennie przejeżdżał się po pod jej okna w błękitnym wózku, sam powożąc, i z największą gracją trzymał wodze, aby tylko do tych zamków się dostać. Ale królewna jego pozamykała przed grackim woźnicą swoje litewskie zamki, posprzątała na widok publiczny wystawione klucze i zostawiła szturmującego Adonisa o głodzie i chłodzie przed bramą zamkową.

Rozżalony, zawstydzony, bez nadziei innych widoków wrócił Edmund wcześniej jak zazwyczaj do domu, a siadłszy do gry obok Jadwigi, tak się jakoś uczuł swobodnym, tak mu się lekko na sercu zrobiło, że o Agrypinie i jej zamkach litewskich, a co najwięcej, o niesmacznym koszyku na dobre zapomniał. Myślałby kto, że nieszczęśliwy konkurent zstępując z rozpaczy w świat zmarłych, kilka dosadnich haustów z rzeki letejskiej pociągnął, ale błogie to zapomnienie uraz doznanych nie ustąpiło w skutek wody letejskiej, bo Edmund wcale o drugim świecie nie myślał, ale był to zwyczajny skutek dwojga niezwyczajnie jasnych oczek Leonci, która dzisiaj jakoś przecudnie wyglądała.

Jest rzeczą dowiedzioną, że rozżalone i odepchnięte serce lotem strzały zwraca się w inną stronę, aby czemprędzej ranę swoją zagoić. Już to jest w jego naturze, aby jak ów głodny Tantal nieustannie pragnąć i łaknąć, lecz gdy w najwyższem naszem pragnieniu wszystko nas zawiedzie, wtedy sięgamy po pierwszy lepszy surogat, aby nim to pragnienie ugasić. W takim to usposobieniu był dzisiaj Edmund.

Wpatrzył się w siedzącą na przeciw siebie Leoncię i począł jej rysy porównywać z rysami bogatej Litwinki. Lekko do góry zadarty nosik Leonci był o sto procent ładniejszy od szeroko spłaszczonego nosa limfatycznej heretierki, usta Leonci były drobne i świeże jak pączek, miały w sobie coś przyciągającego, a usta Litwinki były grube, obwisłe i szeroko wyrzucone rasy macierzyńskiej. Żółte jej jak bursztyn zęby nie mogły także wytrzymać porównania z białemi jak perły zębami panny Przyrembianki, a o oczach już ani mowy! Tamtej oczy były zielone, krokodylowe, była w nich sama ironia i złośliwość, w oczach Leonci jaśniało całe niebo wiosenne, wraz z tem ciepłem, przyciągającem wszystko do siebie. Nie było tam żadnej chmurki ani mgły, a chociaż i wiele skarbów nie było, to nie było też i pretensji, bo każdy mógł je zaraz objąć i policzyć.

— Gdyby ta dziewczyna miała choć ze stotysięcy, myślał sobie Edmundek, dalipan, żebym na złość tej przebrzydłej Litwince z nią się ożenił. A wtedy dopiero pokazałbym co mogę, obwoziłbym ją w najpiękniejszym ekwipażu po wszystkich ulicach, w adamaszkach wprowadzałbym ją na bale i wieczory, a niktby od nas z lepszą fantazją nie siedział w loży. Wtedyto zemściłbym się na tej dumnej heretierce; widząc nas, żałowałaby tego, że mnie kiedyś odkosza dała.

Tak sobie pomyślał i dumał rozgniewany Edmundek, a za każdem podaniem kart niezaniedbał chwycić Leoncią za paluszek, i za pomocą tego telegrafu magnetycznego uwiadamiał ją o postępie swoich uczuć i marzeń. Leoncia odgadywała to jakoś sercem kobiecem i odpowiadała telegrafem dawniejszego wynalazku, to jest, rumieńcem.

Musiała to być bardzo przyjemna dla nich zabawka, bo i oczy i twarze ich rozweselały się coraz więcej, coraz żywsze były ich giesta i spojrzenia, i coraz żywiej malowało się w nich jakieś serdeczne porozumienie. Edmund aż się zamyślił na chwilę, a myślał pewnie o tem, o czem już raz mówiliśmy, o jakichś stosysięcach, któreby do tego ładnego obrazku za złote ramki służyć mogły. Ale dotąd nie miał takich ramek ten ładny obrazek; mimo to był on zawsze ładny i nęcący, a mianowicie dla tego, którego w tej chwili zawiodły wszystkie marzenia, tak starannie przez cały karnawał pielęgnowane. Bądź co bądź, Edmund już nawet nie myślał więcej o stutysięcach, pominął jakoś tę Scylę i Charybdę, jak gracz początkowy pomija trudne do wygrania trylery.

Edmund miał słabą głowę, a jeszcze słabsze serce, więc tu i tam ustąpił, i dziękował Bogu, że go nie obdarzył żadnym wyższym przymiotem charakteru lub duszy, któryby go do dumy zagrzewał, a nie dał mu swobodnie użyć tych owoców życia, po które nie potrzebował sięgać zbyt daleko. Był on jednym z tych młodych ludzi, co to wypiwszy kawę z kożuszkiem, przystępują do ojca, a całując go w rękę mówią:

— Papcio, ja bym papcia o coś prosił.

— No cóż takiego, rzecze ojciec, czy chcesz nowego surducika?

— Nie papcio, co innego...

— Może podobał ci się mój nóż z perłową macicą?

— Nie papcio, jeszcze coś innego.

— Może siodełko nowe?

— Jeszcze nie.

— Aha już wiem, na co waść masz oskomę, zawołał rodzic, na gniadosza z białą różką.

— Gdzie tam!

— A cóżto do kaduka waści do gustu przypadło?

— Ja bym się... papcio... ożenił....

— Ożenił! krzyknie stary i spojrzy po salonie, jakby czegoś szukał. Ale dawne czasy wyrugowano z salonów, a z niemi wyszła i nasza staropolska, nieoceniona dyscyplina, w której zbawienne skutki fanatycznie wierzono. To też nie znalazł dzisiaj zakłopotany ojciec tego talizmana, i rad nie rad musiał dalej słuchać młokosa:

— I z kimże to chcesz się ożenić?

— Z panną Barbarą.

— Tfu, czy oszalałeś? dwa razy starsza od ciebie! I dziesięciu słów z nią nie mówiłeś.

— Ona, kochany papciu, tak ładnie tańczy, a gdym

jej podniósł rękawiczkę, pogłaskała mnie pod brodę, i rzekła: ładny i grzeczny chłopak z ciebie Tymuniu.

Rodzic ofuknął wprawdzie Tymunia, ale gdy zaczął Tymunio płakać i grozić, że się utopi, pozbiegały się wszystkie ciotunie i siostrunie, i tak ojca obległy, że rad nie rad musiał wziąć na siebie czamarkę, i pojechać dla Tymunia po Basię w sąsiedztwo.

Nie wiele od takiego Tumunia różnił się nasz Edmundek; może miał więcej zewnętrznego poloru, może zgrabniejsze miał maniery i może na tyle miał śmiałości, żeby ojca po Basię nie wysyłał, tylko samby po nią pojechał. A Leoncia w tem się różniła od Basi, że go pod brodę nie pogłaskała, tylko raczka spiekła, co Edmunda nie po brodzie ale po sercu bardzo głaskało.

W ten sposób bawił się nasz młodzieniec, a nawet zauważył, że oczka Leonci coraz smutniej na niego spoglądały, że jej pierś coraz wyżej się wznosiła, że kiedy niekiedy jakieś, stłumione niby echo, odezwało się westchnienie. Biedna Leoncia, ona już marzyła!

I Jadwiga musiała w końcu coś dojrzeć, bo się nagle ozwała:

— Coś państwo Edmundowie bardzo sentymentalnie sobie kartę podają.

Edmund bowiem z Leoncią stanowili w grze jedną partją.

— Ha, odpowiedział Edmund trzeba sentymenta swoje zwracać tam, gdzie je przyjmują, czyż nie tak Felciu?

— Przecież raz powiedziałeś coś rozsądnego, rzekła Ofelia, chociaż to tylko świeży owoc doświadczenia.

— Zapewne, zapewne, odpowiedział Edmund, ja też się już wcale nie kuszę, ani się nie naprzykrzam z mojemi sentymentami, osobliwie tam, gdzie już Gustaw miejsce zajął!...

Ofelia zarumieniła się.

— Juściż przyznam ci się Mundziu, ozwała się Jadwiga, żeś nudny jak lukrecja. Na miejscu Ofelii inaczejbym z tobą nie była uczyniła. Nie masz ani dowcipu, ani zbyt wielkiego rozumu, boś się wiele nie uczył, i czemże chcesz się podobać?

Leoncia zwróciła błagające spojrzenia na Jadwigę, aby jej serca nie raniła, a na Edmunda spojrzała wzrokiem, który mówił: Niech cię zły świat ma za głupca i niedołęgę, tyś w oczach moich mędrszym od Salamona, bo ja cię kocham!

Uśmiechnął się do tego Edmundek, ale i złośliwej siostrzyczce trzeba było coś odpowiedzieć.

— Jeśli nie mam tyle rozumu co ty, zebrał się w końcu na odpowiedź, to tobie nic do tego, a jeźli na tyle nie mam sentymentów co Ofelia, to tego także nie bardzo żałuję; obaczę, jak daleko zajdziecie z waszym rozumem i z waszemi sentymentami. Wprawdzie ma więcej Gustaw odemnie i rozumu i sentymentów, jak tego nieraz dał dowody na salonach pani Aurory.

Ludzie słabego charakteru nie mogą być nawet złośliwemi. Nie znają ni zazdrości ni zemsty, nie wiedzą co to znaczy szaleć i zachwycać się, ale też i nie wiedzą, co to znaczy cierpieć, boleć i rozpaczać. Wszystkie barwy życia są u nich przyćmione i szare, nie obaczysz tam żadnej jaskrawości, żadnego śmielszego światła, żadnego głębszego cienia. Wszystko tam jednostajne aż do znudzenia, a nawet ta ich wieczna dobroć serca, i ten wiecznie dobrotliwy uśmiech na ich twarzy. Dobre i złe przyjmują z uległością poniżającą, a miękkie ich serce zapomina prędko o ranach odniesionych, i jest zawsze gotowe do nowego zranienia i przebaczenia. Mianowicie imponują im wyższe przymioty u innych, a tym oddają cześć nawet wtedy, gdy wiedzą, że są ich przeciwnikami.

A takim-to człowieczkiem był nasz Edmundek. Chociaż Gustaw nieraz mu w drodze stanął, chociaż nawet i na sukcesa jego u Ofelii nieobojętnie patrzeć był powinien, jakto w najutajeńszej komórce jego serca wyczytać możemy, Edmund jednak chwalił każdą razą Gustawa, a nawet stawiał go sobie za ideał młodego człowieka, i we wszystkiem naśladować usiłował. I naśladował go wybornie, począwszy od fryzury, aż do kroków w mazurze i blado-różowych rękawiczek, tylko sukcesów u kobiet, i dowcipnej rozmowy jakoś w żaden sposób nie mógł naśladować.

— I ty nie zazdrościsz Gustawowi jego powodzenia? zapytała Ofelia, chcąc o Gustawie czegoś się dowiedzieć.

— Owszem, cieszę się z tego, że się wszędzie podoba, odpowiedział z wielką szczerością Edmund.

Ofelia uraczyła tym razem Edmunda spojrzeniem, jakiego może jeszcze nigdy nie dostał. Nie uszło to baczności Jadwigi.

— Na mniebyś tak nie spojrzała Felciu, rzekła, bo w moich ustach miałoby to inne znaczenie.

— Nie posądzam cię o złe zamiary, możebym cię za to ucałowała.

I w samej rzeczy zamarzyła słodko kochająca dziewczyna i tak jej jakoś serce żywiej bić poczęło, tak pragnęła w tej chwili okazać światu swoje uczucia, że zbliżywszy się do Jadwigi, oparła głowę na jej ramieniu, i ją serdecznie ucałowała. Jadwiga odpłaciła jej ten pocałunek serdecznym uściskiem, a patrząc w rozjaśnione oczy przyjaciółki, westchnęła głęboko a twarz jej posmutniała nagle.

— Ona jest szczęśliwa, mówiły jej czarne, przyćmione oczy, a przedemną cały świat zamknięty!

— Aha! krzyknął w tej chwili Edmund i skoczył równemi nogami aż na środek salonu, jakiż ze mnie... jakiż ze mnie...

— Cóż takiego? krzyknęły wszystkie trzy na raz.

— Jakiż ze mnie... jakiż ze mnie, powtarzał Edmund trzepiąc jedną ręką w powietrzu, a drugą w kieszeni tużurka.

— Mówże na miłość boga, wołała niecierpliwie Jadwiga.

— Dalibóg muszę wierzyć, żem się zakochał, mówił dalej z ukośnem wejrzeniem na Leoncię.

— Ach, jakżeś nieznośny!

— Czy wam o tem nic jeszcze nie mówiłem, zapytał się naiwnie i szczerze.

— O czem?

*

— Że Gustaw kwitował.

— Jakto? kwitował na zawsze? zapytała się Jadwiga.

— Na zawsze! na wieki wieków, chodzi po cywilnemu, a jak mu dobrze w czarnym płaszczyku! Ręczę ci że bardzo na awantaż odmienił się. Brat mu dał cesją na ośmkroćstotysięcy... to też używa sobie wolności jak ptaszek wypuszczony z klatki, bankietuje z młodzieżą, Tryton go wszędzie wprowadza!... co hula to hula... A jakie koniki ma, jaki wózek przecudny! A jak ubrał grooma swego, czysty lord!...

— Felciu, Felciu, czy słyszysz, zawołała Jadwiga z iskrzącemi od radości oczami, ma ekwipaż swój, słyszysz? O to pewnie zacznie u nas bywać!... Wiesz, możesz być teraz zazdrośną bo go bardzo lubię.

Ale Ofelia nic z tego wszystkiego nie słyszała. Stróż-anioł stanął teraz na straży przy jej sercu i nie dozwolił, aby z tą radośną dla niej wieścią weszły razem i ciernie, któreby je mocno zraniły. On chciał aby sierota choć jedną chwilę w życiu szczęśliwą była, aby odchodząc z tej ziemi przed tron boga, mogła unieść z sobą choć jedną łzę szczęścia, aby nie rzekła stwórcy: nie byłam szczęśliwą! I dokazał tego. Ofelia była szczęśliwą.

Nie słyszała ona dalszej mowy Edmunda ani Jadwigi, bo wiadomość ta, że Gustaw kwitował pozbawiła ją prawie zmysłów. Jakkolwiek mocno dotąd wierzyła, że Gustaw ją kocha, że wszelkie jego usiłowania do tego zmierzają, aby się do niej zbliżyć a przełamać to, co go od niej rozdzielało, jednak ostatni ten krok Gustawa tak był oczywistym dla niej dowodem, tak jasną i zrozumiałą był odpowiedzią na jej warunek, jaki mu jeszcze na wsi będąc położyła, że i najdrobniejsza wątpliwość znikła z jej duszy, a słońce szczęścia zeszło jej teraz w całej okazałości.

Różnie sobie dotąd wykładała postępowanie Gustawa. Były chwile, w których prawie powątpiewała aby jej marzenia mogły się kiedyś stać rzeczywistością. Idąc ulicą a ujrzawszy Gustawa zdawało się jej, że on za mało uwagi na nią zwraca, że jakoś chłodno ją wita, i z pewnem uczuciem urażonej dumy na nią spogląda. Znając charakter Gustawa sądziła, że ta urażona duma jego nigdy mu nie pozwoli zbliżyć się do niej, i że tym sposobem wygaśnie powoli w sercu jego wszelkie dla niej uczucie, którego jej wzajemność podsycić nie może.

Dzisiaj jednak zmienił się stan rzeczy. Rezygnacja Gustawa wypełniła nagle całą przerwę w błogich jej marzeniach, i była dla niej dowodem, że Gustaw ją kocha, i że dla niej ten krok uczynił. Odeszła od kanapy nie słuchając dalszych uwag Jadwigi i zbliżyła się do okna.

Noc była ciemna, niebo okryte chmurami. Na ulicy błyszczały miliony brylantów i drzały za każdym połyskiem światła, pochodzącego z latarni lub z okien nie przysłonionych. Zimnym wydał jej się taki widok przyrody. Gorące jej serce chciało dzisiaj szaleć i zachwycać się. Usiadła do fortepianu.

Uderzyła silnie w niskie akordy. W tem uderzeniu było tyle jakiegoś rozkazu, tyle siły despotycznej, że wszyscy mimowoli ucichli. Grzmiące akordy wznosiły się co raz wyżej... zdawało się, że pod mistrzowską jej ręką przydłuża się klawiatura w nieskończoność... aż nagle silnem uderzeniem gdzieś w niebiosach skonały. I nastąpiła krótka cisza. Był to obraz burzy, przechodzącej przez serce. Wreszcie umilkła. Czy już wszystko się skończyło?... Zwolna wymknęło się kilka tonów spiewnych, niskie akordy powtórzyły je jakby echem, i więcej, co raz więcej poczęła się wydobywać jakaś miła, rzewna melodja, której z wolna i niższe głosy to warzyszyć poczęły. Zdawało się, że natchniona artystka trzymała w rękach swoich zaklęte dwie różne istoty, że te istoty prowadzą z sobą jakiś tajemniczy, nieodgadniony dialog, że zwolna zbliżają się do siebie, zlewają swe głosy w jeden wielki, tryumfalny hymn, który co raz huczniej, z co raz większym grzmotem wzbijał się pod sklep nieba, i nagle w piorunie skonał... Po chwili ozwały się znowu te same dwa głosy, ale to były już głosy duchów. Cicha, nieziemska melodja, bez ciała i bez dźwięku, płynęła jak eter przeźroczysty, i z wolna ulatniała się po jednym akordzie, po jednym tonie, po kropli... i nagle zaszumiało, jak szum skrzydeł odlatujących do nieba aniołów... Były to tony serca na ziemi, i tony duchów w niebie... była to miłość przed grobem i miłość za grobem...

— Tak jeszcze nigdy nie grałaś Felciu, rzekła Jadwiga, taką muzykę i ja bym lubiła.

— Bo dzisiaj jestem szczęśliwą, odpowiedziała Ofelia.

— I ja tak coś jestem niby szczęśliwy, gdyby.. rzekł Edmund rzucając wejrzenie na Leoncię.

— I ja bym była szczęśliwą, gdyby... mówiły a niedokończyły oczka Leonci.

Tylko dla Jadwigi żadnego szczęścia nie było!

C. d. n.

Gdzie ją znalazłem?

Za wiosną szukałem po łące,
A po niej nie było już śladu;
Słowika szukałem po sadzie,
I słowik odleciał już z sadu!

Mych kwiatów szukałem na oknie,
I im się za wiosną stęskniło;
Szukałem za tobą po świecie
A ciebie tam nigdzie nie było!

Więc smutny spojrzałem w głąb serca,
A w sercu znalazłem i wiosnę,
I słowik tam siedział w zacieniu,
I nucił mi pieśni miłosne.

I kwiaty tam moje ujrzałem,
Jaśniały jak tęcza na niebie,
Przy wiośnie, słowiku i kwiatach,
Ujrzałem tam luba, i.... ciebie!

* *

Procesowicze.

Szkic obyczajowy.

Ciąg dalszy.

Zasnąłem w takich lubych marzeniach. Musiało być ledwie po północy, gdy zbudziło mnie nagle jakieś szuportanie, którego z początku pojąć nie mogłem. Było to jakieś drapanie przeciągłe po ścianie. Spojrzałem przed siebie; to gospodarz patyczkiem tarł zawzięcie o ścianę.

— Może zasłabł? pomyślałem.

Po niemałym patyczków wydatku, udało mu się wreszcie zapalić świecę; nałożył lulkę, i urządziwszy na stole papier, kałamarz i pióro, zaczął przechadzać się żywo po pokoju, a ciągle z pod oka spoglądał na mnie.

— Oj źle! przeszły mnie mory. Co to będzie z tego? Przeczuwając coś złego, zaparłem duchy w sobie, i udawałem mocno śpiącego. Usiadł wreszcie przed stołem, i zaczął pisać zawzięcie, ale ciągle od czasu do czasu spoglądał na mnie. I znowu pisał, a pisząc uśmiechał się do siebie, i czasami spoglądał dziwnem jak mi się zdawało na mnie okiem. I niewiem co się stało, bo przecie leżałem nieruchomy, i ze strachu jak mysz spocony; a oczy miałem zaciśnięte jak u nieboszczyka, gdy nagle zerwał się, przyskoczył do mego łóżka, i usiadł na niem.

— Czy spisz mój kochany? pytał głośno.

Przyznać potrzeba, że to lube jest zapytanie. Otworzyłem oczy machinalnie.

— Ja uważałem że niespisz. Słuchaj! powiem ci coś ciekawego, bardzo ciekawego. Imajnuj sobie, że już dawno łamałem sobie głowę nad dobrym jakimś argumentem do tej excepcyi, o której ci mówiłem. I znalazłem go... ot tak nagle zbudziłem się, jakby mnie co tknęło... to prawdziwe natchnienie, jak u was poetów i pisarzów.

— A bodajżeś przepadł ty natchniony procesowiczu! pomyślałem.

— I mam go! o mam! ale co to za argument! kapitalny! powiadam tobie niezwyciężony. Adwokaci pogłupieją, i nie pojmą z kąd szlachcicowi taki argument mógł przyjść do głowy.

— Ale słuchaj sam i osądź! Już to człowiek głowę nosi nie dla proporcji.

Musiałem słuchać, nie było rady. Jaki argument był, wyznam szczerze, niewiem, ale że był ogromnie długi i ogromnie obszerny, zato ręczyć mogę, bo jak mi zaczął trochę rozpowiadać, trochę czytać co już napisał, trochę pisać, sam sobie głośno dyktując, a przytem rozpowiadać co to będą za ogromne konsekwencje, jaki to piorun niespodziany na przeciwnika, jaka niespodzianka dla adwokatów, a jaki przedmiot do ciekawych rozmów dla wszystkich prawników, tak i noc przeszła cała, i ja oka zmrużyć nie mogłem. Ledwie świtać zaczęło, wybiegł pan Franciszek, i kazał konie zaprzęgać.

— Bo widzisz muszę jechać do miasta co prędzej, i zaraz na stępel przenieść każę całonocną pracę naszą, dodał, chcąc mnie podchlebić.

— I owszem! odrzekłem, bo i ja przypomniałem sobie, że mam interes w mieście.

A gdym już wrócił, przyrzekłem sobie, że nie prędko złapie mnie jaki procesowicz do siebie.

Gdyby chcieć przytaczać najrozmaitsze postacie procesowiczów i wypadki pieniackie u nas, niestarczyłoby prawdziwie miejsca, ani też cierpliwości czytającym.

Znałem między innemi przed laty starą już kobietę wyższego stanu, którą nazywano panią starościną. Była to swoich czasów sławna procesowiczowa. Jakim sposobem nią zostać mogła kobieta lepiej wychowana i majętna, należy do tajemnic ludzkich słabości, i tego szczególnego pociągu, jakie wywiera pomału pieniactwo. Zdaje się, że u niej ta namiętność była skutkiem rozpaczy i próżnowania. Miała męża bogatego, i syna jedynaka, do którego namiętnie była przywiązana. Najprzód umarł ojciec, a wkrótce potem syn, dorosły już młodzieniec pełen nadziei. Rozpacz jej była nieutulona, jak zwyczajnie rozpacz matki.

Długi czas mieszkała przy klasztorze, rozmaite czyniąc nań dary. Zdaje się że tam mieszając się do tych wszystkich drobnych kłótni zakonnych, nabrała po raz pierwszy tej chętki pieniackiej, jaka już jej przez resztę życia nie opuściła. Dosyć że w części rozpacz po stracie syna, w części brak wszelkiego zajęcia, były przyczyną pierwszych kłótni zwykłych w domu, które później występowały przed kratki sądowe.

Mając znaczne bardzo dobra, bo z pietnaście wsi, i nieco kapitałów, zaczęła to wszystko częściami rozdarowywać. I tak jednemu niekrewnemu nawet darowała trzy czy cztery wiosek pod pewnemi warunkami jakichsić spłatów w gotówce i wiktuałach. Łatwo pojąć co tam było wdzięczności, a co po mieście krzyku i podziwu. Lecz ledwie kilka minęło miesięcy, aleści rozeszła się wieść, że starościna rozpoczyna proces naprzeciw obdarowanego, o niedotrzymanie jakichsić warunków. Czy tam było dotrzymanie, czy niedotrzymanie nieumiem powiedzieć; dosyć że proces trwał zawzięty lat kilka. Na proces poszła wioska; starościna przegrała.

Cóż na to robić? Co przepadło, to przepadło, ale starościna postrzegła że na żal i próżniactwo najlepszem lekarstwem proces ze wszystkiemi swemi zmianami. Jakimże sposobem przyjść do nowego procesu? Najłatwiej!

Oto drugiemu darowała znowu trzy czy cztery wsie pod podobnemi warunkami. Z darowizny przyszło do procesu, który ją lat kilka bawił i zajmował.

Za procesem znowu jedna wieś poszła, i znowu przegrana. Szkoda procesu! A więc spróbowała tego samego raz trzeci jeszcze, i wyszła jak na pierwszym i drugim razie.

Z pietnastu wiosek zostało jej dwie, ale najpiękniejszych, i najintratniejszych. Cóż starościnie po wsiach, kiedy niebyło procesu, który tem jej do życia był potrzebniejszy, że się przez ten czas zestarzała i nawyczka stała się w niej drugą naturą. Wynalazła tedy jakiegoś dalekiego kuzynka, któremu ostatnie dwie wioski darowała, excypując sobie roczny na życie dochód. Kuzynek ucałował rączki i nóżki swojej dobrodziejki, i pojechał do dóbr swoich. Jedną czy dwie raty zapłacił, ale z innemi nie spieszył się ratami, zasłaniając się rozmaitemi wypadkami elementarnemi i nieelementarnemi. Złośliwi ludzie

twierdzili, że on to robi przez wyrachowanie, czekając od marca do marca na śmierć łaskawej kuzynki, która zestarzała się przez ten czas doskonale. Była to oczywista obmowa, bo przeciwnie poddając przedmiot do nowego procesu, kuzynek przedłużał życie kuzynki.

I tak pozbywszy się pietnastu wiosek i kapitałów, w nędzy prawie dokończyła życia, ale zawsze przyjemnie kończyła, bo w tryumfie z dziwnie udałej repliki, i w gorącem dupliki oczekiwaniu. Chcąc niejako uwiecznić proces i zostawić go pamiątką po sobie, testamentem zapisała swoje pretensje jednemu, sprzęty drugiemu, a stroje trzeciemu. Łatwo pojąć że powstały niemałe ztąd kłótnie i sprzeczki. A nie było zaprawdę o co. Bo najważniejszą częścią spadku była ilość papierów prawnych niewidziana i niesłuchana; było tego z dziesięć kufrów olbrzymich, i tyleż kolosalnych szaf. Takiej fascykułowej spuścizny nie zostawił żaden w świecie adwokat. Komornik przez trzy kwartały miał co robić zanim zrobił konsygnacją tych ogromnych aktów. Ale za to trzy kapitalnych powstało procesów, które przez trzy lata trwając, trzech przynajmniej żywiły adwokatów.

Niema dziwactwa, do jakiego by nie przyprowadziła ta pieniacka namiętność, jak to mnogie u nas dowodzą przykłady.

Znałem przed laty jednego szlachcica. Był to prawdziwy polski szlachcic z poczciwem sercem, pełen gościnności, przesądów i fantazji najrozmaitszych, które najczęściej bez przygotowania wystrzelą w sposób zupełnie niespodziewany. Tak się też stało z panem Jacentym. Długie lata żył po bożemu, po gospodarsku, orał, zasiewał i zbierał, z arendarzem się kłócił i godził, i nieźle mu się działo, zwyczajnie jak na małej wioszczynie. Nagle zaczął zaniedbywać gospodarstwo, i po całych dniach przesiadywał w swojej kancelarji, zamknięty tak szczelnie, że ani ekonom, ani arendarz, ani gospodyni i kuzynka razem, stara panna Petronela dostać się do niego nie mogły. Po trzech czy czterech miesiącach, w czasie których gospodarstwo szło bóg wie po jakiemu, wyszedł szlachcic z kancelarji pobladły, postarzały, z ogolonemi wąsami, i do witających go przemówił zaraz z góry... po niemiecku. Domownicy pogłupieli, bo odkąd się pan Jacenty urodził, a było temu lat czterdzieści z okładem, zawsze polskim tylko przemawiał językiem, chyba że czasem z ruska połajał lub nahajką pociągnął. Jeden Josel arendarz mocno się tem ucieszył, i wielki uczuł respekt dla jasnego dziedzica. Pan Jacenty niezważając na te wszystkie oznaki smutku czy radości, kazał konie zaprząc, siadł na dryndulkę, i pojechał wprost do cyrkułu.

— Co to będzie? co to będzie? łamali sobie wszyscy głowę, a najwięcej panna Petronela, która bała się, aby przy tych przemianach i jej władza domowa z rąk się nie wymknęła.

Ot to było, że po dwóch czy trzech tygodniach pan Jacenty wrócił z cyrkularnego miasta, mając w zanadrzu dekret na mandatarjusza. Podobało mu się nim zostać, i został, co po prawdzie powiedziawszy przemawiało nawet dosyć za praktycznym rozumem pana Jacentego.

Gdybyż się na tem skończyło! Ale ta fantazja pana Jacentego zaczęła się rozradzać w różne najpocieszniejsze odcienia. I tak naprzód założył w domu dwie kancelarje, w jednej siedział, jako dziedzic i szlachcic, w drugiej jako mandatarjusz. I tak pomału przyzwyczaił się do tego dualizmu, że w końcu rozdwoił się zupełnie, i w każdej najmniejszej sprawie pisał z pokoju do pokoju sam do siebie, w swej podwójnej postaci, i podobnież odpisywał sobie, uważając najsumienniej na stylizacją.

Pomału zaczął się dziedzic kłócić z mandatarjuszem, ale kłócić na piękne. Oba sypali sobie stosy zarzutów i injurjów, zadając sobie nawzajem tysiące rozmaitych uchybień. Kłótnia przyszła do tego nareszcie stopnia, że oba i dziedzic i mandatarjusz wnieśli skargę do cyrkułu, i rozmaite na siebie podali denuncjacje. Cyrkuł niezważał z początku na to, i chciał te skargi mimo uszu puścić. Ale na to nie przystał pan Jacenty, który już teraz nie wychodził prawie z obu kancelarji. Nowe, silniejsze jeszcze skargi, pełne gwałtowności, zmusiły cyrkuł wdać się w tę sprawę i wysłać komisję do strutynowania całej tej sprawy. Jakież było zadziwienie komisarza, gdy przyszło do konfrontacji, na widok dziedzica i mandatarjusza w jednej osobie występujących. Dostał się oczywiście pan Jacenty do kozy i odsiedział w obu swych postaciach. Ale to go nie wyleczyło. Zamykano go razy kilka; on wróciwszy do siebie ciągnął dalej zawzięty proces między dziedzicem i mandatarjuszem, prowadząc go przez wszystkie polityczne, sądowe i kryminalne instancje. Szczęściem, tak się zirytował nad jednem podaniem, żółcią i jadem przepełnionem, że dostał zapalenia jakiegoś i umarł, bo inaczej byliby biedaka zamknęli do czubków.

Rozpisawszy się nad tym przedmiotem, nie mogę jednej jeszcze pominąć uwagi, która mi się z tego powodu nasuwa.

To szczególne zamiłowanie do pieniactwa, ta ochota obowiązkowa niemal udawania się o sprawiedliwość do prawa i sądu, jak była zawsze u nas wkorzeniona, najlepiej dowodzi, że z wyższych klas przechodząc do niższych, odzywała się w całym narodzie. Jak szlachcic, tak mieszczanin, tak i wieśniak czyli tak zwany chłop, wszyscy skorzy byli do pieniackich kłótni. Dowodzić tego niemamy nawet potrzeby, bo ktokolwiek z nas zna własny swój kraj, wie najlepiej, jak częste a pocieszne odbywają się procesa po miasteczkach małych, i nie może nie wiedzieć, ile to procesów przeprowadzają nasi chłopi, co tem jest dziwniejsze, że nie znając ani prawa ani języka, niedowierzając z natury nikomu, nie odstręczają się tem, i dają sobie jakoś radę.

Nie mogę wytrzymać bym nie zrobił tu nawiasowej uwagi. Ta solidarność zwyczajów i narodowych zalet i wad, jaką każdy postrzeże u nas w najwyższych i najniższych stanach, zdaje się silnie przemawiać za tem, co nam niektórzy zaprzeczyć chcą, to jest za istnieniem jednolitego narodu. Mimo całej zdradzieckiej wymowy z jaką występuje pewien nasz pisarz, chcący być koniecznie przedsiębiorcą pogrzebowym własnego narodu, i przekonać świat cały, że to już dawno trup tylko i nic więcej, mimo całego ferworu, z jakim niedawno fałszując przeszłość naszą,

zapierając się własnej wiary rodzinnej, naplótł nam smalone duby o przybylcach i tobylcach, mimo tego wszystkiego, przeglądając sumiennie każdy rys narodowy, pojawiający się u szlachty naszej, zdybiemy go z małemi bardzo odmianami i w ludzie naszym.

D. n.

Rozmaitość.

* **To była próba tylko.** Niedawno temu stawał przed sądem w Anglii Irlandczyk jakiś, oskarżony że sześć żon posiadał, i był schwytany właśnie na gorącym uczynku, gdy miał poślubić siódmą. Zapytany o to przez sędziego, odpowiedział mu jak najnaiwniej:

— To była próba tylko!.. Chciałem się przekonać czy też choć jedną dobrą znajdę żonę.

* **Dowcip paryski.** Prezesowi ciała prawodawczego przypisują jedno prawdziwie dowcipne powiedzenie. Senator Hekeren w rozmowie z nim skarżył się na rząd, mówiąc między innemi, że pójdzie za przykładem p. Droum de L'Huys, i wyrzeknie się posady swojej.

— Mnie się zdaje, odrzekł Morny, że pan tego nie zrobisz, a to dla 30.000 przyczyn, każda z nich po franku. Wiadomo bowiem że taką sumę biorą ci panowie za posadę senatorską.

* **Rządy kobiece.** Na wyspie Jawa między miastami Batawią i Samarang znajduje się małe, szczególnego rodzaju państwo. Na czele rządu stoi wprawdzie król, ale wszystkie inne dostojeństwa piastują kobiety. Posady dworskie, administracyjne i wojskowe zajmują kobiety, a nawet samo wojsko rekrutuje się z córek Ewy. Mężczyzni zajmują się rolnictwem, przemysłem i handlem. Straż przyboczna króla składa się z najpiękniejszych kobiet całego kraiku. Ubierają się malowniczo, najgłówniejszym ich strojem jest krótka czerwona tunika, rzucona przez prawe ramię. Włosy czeszą do góry i spinają je na czole złotym nagłownikiem. Ich bronią jest krótka, ostra pika, którą umieją z wielką gracją wywijać. Ze strzelby strzelają także wybornie, w największym galopie trafiają do celu z jednej ręki. Tron dziedziczy pierworodny syn króla. Gdy nowy król na tronie osiędzie, stawiają przed nim szereg szesnastoletnich dziewcząt, aby sobie najpiękniejszą za żonę wybrał. Jeśli król w ciągu trzech lat panowania, potomkiem państwa nie obdarzy, może sobie inną żonę przybrać, zostawiając jednak pierwszej tytuł sułtanki. Gdy zaś mimo tego męzkiego potomka nie ma, zgromadza się sto najpiękniejszych amazonek i wybierają z pomiędzy synów swoich następcę. I znowu jest spokój i porządek. Stolica tego państwa leży malowniczo na rozległej dolinie wyspy, po nad którą dominują dwie dobrze uzbrojone fortecy. Panie rządczynie są łagodnego charakteru i grzecznego usposobienia, obcych przyjmują z wielką grzecznością i etykietą. Mówią że ten kraik pod względem polityki niema żadnego znaczenia. Nie bylibyśmy tego zdania. Jeśli pod berłem takiego rządu kraj jest bogaty, szczęśliwy, jak o tem podróżujący pan Ellon nam donosi, to już rozwiązanoby najtrudniejsze dotąd zadanie, jaka forma rządu jest najlepszą. Jeżeli kto dzisiaj stracił wiarę w zasady monarchii, demokracji, konstytucyonalizmu, oligarchii, plutokracji i republikanizmu, ten może się jeszcze cieszyć nadzieją, że praktykowana na Jawie forma rządu pantoflokracji może narody zbawić. Już to tej formy rządu próbowano na małą skalę nie w jednej rodzinie, chodzi tylko o to, czy też ją na większy rozmiar zastosować można.

* **Siostra Rozalia** z klasztoru panien miłosierdzia umarła teraz w Paryżu. Sławna ona była mianowicie w tej najuboższej części miasta, której przez lat 52 poświęcała się z chrześciańskiem prawdziwie zaparciem się. Pogrzeb jej odbył się z niesłychanym przepychem. Najdostojniejsze osoby szły za trumną ubogiej zakonnicy, największą wszakże pogrzebu ozdobą były tłumy klas uboższych, prowadzących ze łzami w oczach dobrodziejkę swoją do ostatniego jej pomieszkania. Pan St. Arnaud miał nad jej grobem czułą i rozrzewniającą mowę. To może nam dać miarę, jak była szanowana za życia, które w całem tego słowa znaczeniu dobru ludzkości poświęcała. Była ona dekorowana przez samego cesarza Napoleona III., który wraz z małżonką nie raz ją odwiedzał, używając jej za pośredniczkę tajemnych datków miłosiernych. W ważniejszych mianowicie chwilach, rozwijała się w niej wielka energia i siła. W roku 1832 i 1849., kiedy najsrożej szerzyła się cholera po mieście, była ona prawdziwą opatrznością dla klas ubogich, zrozpaczonych i na duchu upadłych. Niezmordowana przebiegała wszystkie poddasza i cele szpitalowe.

— Jak żołnierz śmiały i odważny, mówiła sama o sobie, nie powinien uciekać przed ogniem nieprzyjacielskim, tak i prawdziwa siostra miłosierdzia, ani powietrza ani cholery przestraszyć się nie powinna.

Znajome jest jej postępowanie w dniach czerwcowych r. 1848. Jeden z żołnierzy gwardji ruchomej gonionych, dostał się do klasztoru, i tam dopędzony przez powstańców, miał być zaraz rozstrzelany.

— Tu go nie zabijecie, zawołała siostra miłosierdzia rzucając się przed niego.

— Dobrze mówisz siostro, odrzekli tamci, wywiedziem go na ulicę, i tam zginąć musi.

— A więc chyba i mnie zastrzelicie razem z nim, rzekła nieustraszona siostra miłosierdzia, zasłaniając żołnierza piersiami swemi.

Powstańcy spuścili głowę przed nią z uszanowaniem i odeszli.

* **Nowe dzieło o wojnie w Krymie** wyszło teraz z druku w Paryżu pod tytułem: *L'expedition de Crimeé jusqu'á la prise de Sebastopol. Chronique de la guerre d'Orient.* Autorem tego dzieła jest baron *Bazancourt*, wysłany r. 1855. w naukowej missji do Krymu przez ministra oświaty. Jenerałowie francuscy zwyczajem wszystkich wojskowych z niechęcią patrzyli na cywilistę, który wlazł między nich z teką papierów i piórem w ręku. Jenerał Canrobert był nawet tyle złośliwy, że dał mu kwaterę w namiocie pułkownika Raoult, komenderującego w ostatnich podkopach francuzkich, mówiąc, że daje mu jako widzowi miejsce do tego widowiska w pierwszych lożach. Baron Bazancourt nie zważał na to zupełnie, i polecenie swoje jak świadczy wspomniane dzieło, wypełnił jak najsumienniej.

Nowiny lwowskie

* **Koncert pana Łapczyńskiego,** dnia 24go b. m. odegrany, potwierdził nas tylko w zdaniu jakie kilkakroć już wyraziliśmy o znakomitym talencie młodego ziomka naszego. Dzisiaj uderza przedewszystkiem technika i biegłość do najwyższego stopnia posunięta tak dalece, że przejścia najtrudniejsze przemykają poprzed uszy nasze ledwie postrzeżone, tak je artysta z lekka i od niechcenia pokonuje. Jeżeli w tak młodym wieku technika wyrównuje najdzielniejszym mistrzom, nie płonna będzie nasza wróżba że z czasem stanie się jednym z pierwszych pianistów. Samoistny charakter gry własnej wyrabia sobie każdy mistrz później daleko, gdy się dalej odsunie od wpływów, jakie przez długi czas wywierać musi na nim metoda mistrza-nauczyciela. Jest to epoka tworzenia, kiedy dusza artysty cudzemi arcydziełami karmiona, własne zaczyna rozwijać myśli, one iskry talentu, które są istotną jego miarą. Ta epoka niedaleko już jest dla naszego młodego artysty; a gdy przyjdzie, wówczas dopiero dać będzie można ostateczne zdanie o wysokim p. Łapczyńskiego talencie. Myśli te poddało nam głównie wykonanie w rzeczonym koncercie utworu Drejschocka: Saltarella, na końcu odegranego, wykonanie tak doskonałe, żeby się go zapewne sam Drejschock nie zaparł. Pomiędzy odegranemi sztukami ślicznie wydały się wariacje Mendelsohna na fortepian i wiolenczelę wykonane przez koncercistę i p. Göbelta. Dziwnie pięknie harmoniowały oba instrumenta, partja wiolonczeli wykonana była przez pana Göbelta wzorowo. Do przyjemności koncertu nie mało przyłożył się pan Köhler; mianowicie mazurek Nowakowskiego, pełen myśli, w słowach i muzyce, odśpiewał on z niepospolitym wdziękiem.

* Magistrat i komunalna rada miasta Lwowa postanowiły przyczynić się do składek na rzecz szpitalu założonego przez OO.

Franciszkanów bośniackich w Konstantynopolu kwotą stu ryńskich którą to kwotę odebrał bawiący tutaj właśnie i zajmujący się zbieraniem składek zakonnik franciszkański O. Filip Pasalio.

* **Konkursa.** Posada adwokata przy sądzie lwowskim, termin podania do końca marca. Trafika w Rawie, i główna trafika w Brodach, są w drodze konkurencji do obsadzenia.

Przyjechali od dnia 22. do 25. Lutego do Lwowa.

Hr. Ostrowski Wład. z Krakowa. Nowakowski Mich. z Przyłbic. Hr. Łoś Tad. z Narola. Troskalawski Henr. z Jasieniowa. Rubczyński Alfr. z Stanina. Ciepanowski Jak. z Janowa. Malczewski Stan. z Cześnik. Ośmiałowski Szym. z Janczyna. Ochocki Józ. z Dobropola. Marnicki Fel. z Bartatowa.

PP. Sliwiński Woj. z Dombrowicy. Czermiński Lud. z Brzeżan. Skałkowski Józ. z Złoczowa. Mokrański Emil z Krzyszczatka. Bętkowski Fel. z Zbaraża. Rylski Win. z Brodów. Hr. Dzieduszycki Edw. z Budyłowa. Hr. Łoś Aug. z Werchrat. Agopsowicz Ant. z Kornic. Jasiński Józ. z Tułokowa. Fargat Hen. z Załoziec. Błotnicki Art. ze Stanisławowa. Janowicz Erazm z Załonowa. Udrycki Adolf z Choronowa. Niesiołowski Mich. z Szufnarowy. Kruczkowski Leon. z Zeldca. Kempski Lud, z Lublina. Szymanowski Franc. z Spasowa.

PP. Gołaszewski Gust. z Złoczzwa. Malisch Wład. z Białegokamienia. Cetwiński Klem. z Rawy. Palecki Józ. z Jawczy. Górski Tym. z Paniszczowa. Reyzner Fel. z Laszek. Polanowski Alex. z Moszkowa. Torosiewicz Mich. z Połtwi. Tustanowski Wład. z Kliniaczy. Szczepański Wład. z Wiśniowczyka. Gruszczyński Fryd. z Dołhego. Niezabitowski Nap. z Krakowa.

Wyjechali od dnia 22. do 25. Stycznia ze Lwowa.

PP. Czechowski Ant. do Dembicy. Jaruntowski Jan do Hermanowiec. Jaruntowski Jan do Małhowiec. Karniewski Jan do Janowa. Jastrzębski Emil do Dublan. Możorowski Ant. do Witkowa. Pałuszyński Józ. do Rokitny. Pierzchała Ign. do Uszkowiec. Wiśniewski Jan do Kurowiec. Winnicki Hip. do Hnilczy.

PP. Biliński Fel, do Olszanki. Sokołowski Konst. do Pniatyna. Dziembiński Just. Zachariasiewicz Mik. Lachowicz Jak. do Janowa. Dr. Szlachtowski do Złoczowa. Malczewski Hen. do Gniłowód. Parzelski Francis. do Suszna. Bogdanowicz Jan do Żółkwi. Fiałkowski Mich. do Głuchowa. Gorajski Alex. do Przemyśla. Rylski Hen. do Pienia. Truskolaski Hen. do Jasieniowa. Jaruntowski Ant. do Jabłonki. Hohendorf Eust. do Baru. Gottlebowie Kwiryn. Wic. i Felix do Dołhomościsk.

PP. Łopuszański Wład. do Czyszek. Rylski Wic. do Zagórza. Lityński Jan do Doliny. Dr. Bętkowski do Kałusza. Sokołowski Konst. de Pniatyna.

Kurs telegrafowany z Wiednia 25. b. m. o g. 2. popołud.

Augsburg za 105 złr. .	$104\frac{7}{8}$	Pożyczka 5%	$82\frac{11}{16}$
Hamburg za 100 tal. banco	$76\frac{3}{4}$	Akcye banku	1023
Londyn za 1 funt szterl.,	10.16	Kolej północna	2700
Medyolan za 300 lirów	$105\frac{3}{4}$	Obl. ind.	76
Paryż za 300 franków .	$122\frac{3}{8}$	Nowa pożyczka z loterya	$105\frac{5}{8}$
Agio duk. ces.	$9\frac{1}{2}$	Pożyczka narodowa . .	$84\frac{1}{4}$

Dzisiejszy Kurs Lwowski

	Gotowka						towarem			
Dukat holenderski	złr.	4	kr.	54	złr.	4	kr	58
Dukat cesarski	«	4	„	55	„	5	«	—
Półimperyał zł. rosyjski	«	8	„	25	„	8	„	32
Rubel papierowy	„	—	«	—	„	—	„	—
Rubel srebrny rosyjski	„	1	«	38	«	1	„	39
Talar pruski	„	1	«	32	„	1	«	34
Polski kurant i pięciozłotówka	„	1	«	11	„	1	„	12
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	„	88	«	—	„	88	„	30
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		75	„	—	„	76	«	—
5 proc. pożyczka narodowa		83	„	30	„	84	„	30
Śrebro		—	«	—	„	—	„	—

Na drodze między Mikulińcami i Trembowlą zginęło z psiarni strusowskiej trzy gończe psy srokate rasy angielskiej. Ktoby o tychże za nadgrodą 30 złr. m. k. jaką wiadomość udzielić mógł, raczy to uczynić do zarządu ekonomicznego dóbr Strusowa, poczta Mikulińce.

(G. 58. 3—3).

Przedpłatę przyjmuje księgarnia H. W. Kallenbacha we Lwowie przy placu dykasteryalnym L. 41.

na nowe wydanie.

ŻYWOTÓW ŚWIĘTYCH

starego i nowego zakonu

na każdy dzień przez cały rok, wybranych z poważnych pisarzów i doktorów kościelnych, do których przydane są niektóre duchowne obroki i nauki przeciwko heretykom, przy tem **kazania krótkie** na te święta, które pewny dzień w miesiącu mają

przez

ks. Piotra Skargę,

Societatis Jesu zebrane.

Na język polski przełożone, i za życia autora dziewięć razy, a po zejściu jego po raz czwarty staraniem *Ignacego Hołowińskiego* Arcybiskupa Mohylewskiego, Metropolity rzymsko-katolickich kościołów w Cesarstwie Rossyjskiem przedrukowywujące się.

Przedpłata na wydanie zwyczajne wynosi

6 złr. m. k.

Na wydanie drukowane na pięknym welinowym papierze z 24 stalorytami, wykonanemi w Paryżu, przedstawiającemi główniejszych SS. Pańskich, portretem Skargi i ozdobną okładką

G. 60. 2—3. **16 złr. m. k.**

Szczepy do nabycia!

Zakład pomologiczny w Nadorożniowie włości JWgo Stanisława hr. Potockiego, do państwa Brzeżan należącej, podaje niniejszem do wiadomości, iż **sprzedaje szczepy najszlachetniejszych gatunków** w niżej wyrażonej ilości i po niżej wyrażonych cenach, każdego czasu, do sprzedaży szczepów stosownego: a to:

Jabłonek	4letnich		460	sztuk	sztuka	po	24	kr.	m. k.
—	3	—	690	—	—	—	20	—	—
Gruszek	4	—	160	—	—	—	24	—	—
—	3	—	210	—	—	—	20	—	—
Śliwek	4	—	120	— (ryngl otów różnych gatunków)	—	—	24	—	—
—	3letnich		300	sztuk	—	—	20	—	—
Wiszeń	4	—	100	—	—	—	24	—	—
—	3	—	250	—	—	—	20	—	—

Chęć kupienia mający raczy się zgłosić do zarządu dóbr w Raju pod Brzeżanami, gdzie jeżeli sobie kupujący życzy, stosowne zarządzenie wydanem zostanie, ażeby pod dozorem ogrodnika szczepy bez uszkodzenia tychże wykopano i na furach opakowano. G. 57. 2—3.



W Przemyślanach cyrkule Brzeżańskim, jest realność, składająca się z dwóch domów mieszkalnych, z wszelkiemi gospodarczemi zabudowaniami, ogrodu owocowego i warzywnego, oraz pól i łąk, około 40 morgów, z wolnej ręki do sprzedania. Opłata indemizacyjna już jest umorzona. Bliższą wiadomość osiągnąć można listownie lub ustnie u właściciela we Lwowie pod Nrem 330. lit. K. H. na niższej ormiańskiej ulicy. G. 53. 3—3.

Do dzisiejszego numeru dołączone są: rycina mód, arkusz haftów i krojów.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**